

BEATA NOWACKA

Uniwersytet Śląski
Polska

NOWY ŚWIAT MELCHIORA WAŃKOWICZA

BOGATE DOŚWIADCZENIE ŻYCIOWE MELCHIORA WAŃKOWICZA ORAZ JEGO POKAŹNY, opisujący rozległe połacie globu, dorobek literacki stawiają go w rzędzie pisarzy śmiało podejmujących w swej twórczości problematykę światową. Jakie oblicza „światowości” odnajdziemy w jego książkach? Różne. Można np. spojrzeć na nie z perspektywy historii dwudziestowiecznych przemian świata, którym w przedziwny sposób towarzyszył, czyniąc swe absolutnie unikatowe doświadczenie sednem twórczości. Oto już czas dzieciństwa pisarza odsyła wprost do świata kultury szlacheckiej, w której rodzina była zakorzeniona od wielu pokoleń. W *Szczenięcych latach* ten obraz idyllicznej przeszłości jest jednak przetrącony. Opisane w książce jednostkowe doświadczenia rodziny Wańkowiczów stanowią bowiem odprysk wielkiej historii. Młody, wchodzący w dorosłe życie szlachcic nie tylko traci dom rodzinny, ale jest także świadkiem zdarzenia o znacznie większym, niewyobrażalnym wręcz zasięgu – doświadcza oto kresu szlachectwa, musi przeżyć unicestwienie własnej sfery, zobaczyć zagładę świata, który zdawał się wieczny, przeżyć erozję jego wielowiekowych tradycji i wartości. Po klęsce tego świata młodziwiec, niezrażony utratą majątku, rozpoczyna w dwudziestoleciu międzywojennym czynne życie zawodowe – otwiera prężne wydawnictwo, jest pionierem działalności reklamowej w Polsce, angażuje się w politykę. Ale rozpad także tego świata będzie musiał przetrwać, doświadczy tego świadomie, już na kilka lat przed wojną trafnie przewidując kierunki operacji wojskowych. Czas wojennego inferna przeżyje intensywnie, doświadcza na własnej skórze „wrzenia świata” – jako korespondent wojenny, autor monumentalnego fresku batalistycznego o bitwie pod Monte Cassino, przede wszystkim zaś jako ojciec oplakujący śmierć zabitego dziecka. Ponury czas wojny pożegna wkrótce dla świata emigracji, którego będzie ważnym ogniwem – odważnie uczestniczącym w jej życiu, wyrażającym trudne i niepopularne opinie o jej charakterze i powinnościach. Ostatecznie zdecyduje się jednak na porzucenie życia na obczyźnie, by na stałe osiąść w kraju.

Światowość Wańkowicza można także prześledzić z perspektywy geograficznej, przyglądając się kierunkom jego licznych podróży. Były to m.in.: trzymiesięczny pobyt w Meksyku w 1926 roku, słynna wyprawa do Prus Wschodnich z 1935 roku, wojenna tułaczka po terenach Rumunii, Cypru, Iranu, Egiptu, Syrii, Libanu, Włoch, czas emigracji w Anglii i USA oraz późniejsze peregrynacje kanadyjskie. Wśród nich szczególne miejsce zajmuje podróż amerykańska, gdy idąc śladami markiza de Tocqueville'a, reporter przekonuje się o detronizacji Europy i ujrawszy zmierzch potęgi starego świata, zwraca uwagę ku nowej, zdobywającej dominację, sile – cywilizacji amerykańskiej z jej nowymi tradycjami, wielokulturowością, nowoczesnością, stechnicyzowaniem.

Podróże za ocean, opisane m.in. w pokaźnej trylogii, także w planie biograficznym wyróżniają się na tle innych wybieranych przez Wańkowicza destynacji. Do Ameryki pisarz wyjeżdża wiele razy – już jako trzydziestoczwololatek wyrusza w trzymiesięczną podróż do Meksyku, w 1949 roku wybiera się z żoną do USA, by zamieszkać na farmie córki, rok później odbywa, liczącą osiemnaście tysięcy kilometrów, turę odczytową po Kanadzie i osiada pod Nowym Jorkiem. Po pięciu latach wznawia odczyty w obu krajach Ameryki Północnej, a następnie po odwiedzeniu Europy powraca do Stanów Zjednoczonych, gdzie rozpoczyna współpracę z fundacjami w Hartford i Montalvo. W 1958 roku decyduje się na ostateczny powrót do Polski, lecz niebawem podejmuje stamtąd kolejną wyprawę śladem Kolumba – w 1960 roku wyjeżdża na ponad rok do USA i Meksyku¹. „W sumie – szacuje pisarz – przebyłem trasę Atlantyk-Pacyfik cztery razy: w 1950 przez Kanadę, 1954, 1957 i 1961 przez Stany Zjednoczone”². To jego – jak sam powiada – „kolumbowanie” – ma więc nie tylko turystyczny charakter. Ze Stanami Zjednoczonymi, gdzie osiedliła się wcześniej jego jedyna żyjąca córka, Tili, twórca *Ziela na kraterze* zamierzał związać się trwalej – 14 czerwca 1956 roku zdecydował się nawet przyjąć amerykańskie obywatelstwo³.

Zamieszczona w pierwszym tomie trylogii *W ślady Kolumba* relacja z podróży zawiera opis przedsięwzięcia sfinansowanego z honorariów „odczytowych”. Wańkowiczowie przebywają wówczas kilkanaście tysięcy kilometrów samochodem, przecinając Stany Zjednoczone ze wschodu na zachód i z powrotem. Zamierzają wyruszyć 12 grudnia 1956 roku z Nowego Jorku, by 1 stycznia dojechać do Kalifornii. Wańkowicz planuje:

¹ Informacje biograficzne zawdzięczam pracy A. Ziółkowskiej-Boehm: *Kalendarium życia i twórczości Melchiora Wańkowicza*, w: tejsze: *Na tropach Wańkowicza po latach*, Warszawa: Prószyński i S-ka, 2009, s. 575–579.

² Korzystam z wydania: M. Wańkowicz, *W ślady Kolumba. Atlantyk-Pacyfik*, wstęp, J. Surdykowski, posłowie: A. Ziółkowska-Boehm, Warszawa: Prószyński i S-ka, 2009. Wszystkie cytaty z niniejszego wydania lokalizuję w tekście głównym, stosując następujący zapis: (A-P, s).

³ A. Ziółkowska-Boehm, *Kalendarium życia i twórczości...*, s. 579.

1800 km wzdłuż Atlantyku (...).
 1900 km wzdłuż Zatoki Meksykańskiej (...).
 1800 km wzdłuż granicy meksykańskiej (...).
 2000 km wzdłuż Pacyfiku (...).
 5500 km wreszcie z powrotem nad Atlantyki stanami środkowymi (...).
 (A-P, s. 22)

Autor wstępu do trylogii amerykańskiej, Jerzy Surdykowski zauważa wprawdzie, że tak wyznaczona marszruta ma niewiele sensu, bo żeby ze wschodniego krańca kontynentu dostać się do położonych na zachodzie urokliwych Gór Skalistych trzeba mozolnie przedzierać się przez wiejące nudą krajobrazy periowe, ciągnące się w nieskończoność pola kukurydziane i wyjąłowione pastwiska. Dogodniej – radzi doświadczony znawca takiej wyprawy – wybrać się samolotem w atrakcyjne miejsce i tam wynająć samochód. „Ale tak czyniąc – ciągnie dalej – podróżnik sprzeniewierza się najistotniejszej idei Ameryki, jej najważniejszemu mitowi, jakim jest opowieść o drodze i jej upartym przebywaniu”⁴.

Mit drogi, obok *keep smiling*, „od pucybuta do milionera”, *melting pot* i wielu innych, to sztandarowy symbol Ameryki. Korzeniami sięga do dawnych czasów pionierskich, gdy ludność napływowa przemierzała rozległe połacie kontynentu w poszukiwaniu „swojego miejsca” na ziemi; mit ten stał się w ostatnim wieku – dodajmy: wieku intensywnego rozwoju motoryzacji, szczególnie mocno obecny w kulturze amerykańskiej. O jego niezachwianej pozycji świadczy popularność „filmu drogi” (*road movie*) czy „powieści drogi”, które czas szczególnej *prosperity* przeżywają w latach 50. ubiegłego wieku. To nie przypadek, że Wańkowicz opisuje swoją amerykańską odyseję mniej więcej w tym samym czasie, gdy Jack Kerouac publikuje kultową powieść *On the Road* – ideologiczny manifest pokolenia *beat generation*. Książka, która powstała w ciągu kilku tygodni 1951 roku jako trzydziestopięciometrowy zwój, została opublikowana dopiero sześć lat później, lecz od razu zaistniała jako głos powojennego pokolenia młodych⁵. Wariacka wyprawa zbuntowanych bohaterów przez terytorium Stanów Zjednoczonych jest dla nich dramatyczną próbą przeżycia pełni egzystencji, pokonania ograniczeń czasu i miejsca. Wojaż łudzący nadzieją doświadczenia pełnej wolności staje się z czasem figurą niespełnienia, rozpacz i bezdomności. „Sam nie wiem, co mi dał ten wyjazd do Frisco. – wyznaje jeden z uczestników podróży – (...) To już był koniec; chciałem się stamtąd wyrwać”⁶.

Decyzja niemłodych, liczących z górą sześćdziesiąt lat małżonków, którzy z entuzjazmem, brawurą i bezkompromisowością nastolatków rzucają się w po-

⁴ J. Surdykowski, *Go West!*, w: A-P, s. 5.

⁵ O wspomnianej książce ostatnio pisał ks. D. Jastrząb, *O drodze i bezdrożu. „On The Road” Jacka Kerouaca*, „Życie Duchowe” 2011, nr 66, s. 156–163.

⁶ J. Kerouac, *W drodze*, Warszawa: W.A.B., 2007, s. 236.

przek kontynentu jest nie tylko zdumiewająca, ale świadczy także o znakomitym uchu reporterskim twórcy *Na tropach Smętka*. Wańkowicz doskonale wychwytuje ówczesną atmosferę miejsca i bezbłędnie dostraja się do „rytmu” Ameryki lat 50. Podejmując decyzję o trudnej, nieraz monotonnej wędrówce, pisarz ustawia się w szeregu amerykańskich bohaterów, którzy właśnie w latach 50. zawładnęli wyobraźnią milionów czytelników i miłośników kina na całym świecie – jako niezależni i samowystarczalni, pozbawieni domu outsiderzy, którzy z determinacją zmirają ku niepewnej przyszłości. Amerykański wojaż małżonków jest ściśle zaplanowany i samodzielnie zorganizowany, w taki sposób, by najpewniej poznać smak kraju. Porównując obecną podróż do wcześniejszej, którą pisarz odbył słynnym luksusowym pociągiem „Super Chief”, Wańkowicz notuje:

Teraz przebyliśmy inaczej tę drogę – po motelikach, za trzy, cztery dolary, w których nocują szoferzy wielkich ciężarówek przemierzających amerykańskie autostrady; po kafeteriach, gdzie człowiek odżywia się parówkami; po stacjach benzynowych, gdzie podpompowywał opony, mierzył oliwę, przecierał szyby: w deszczu, w burze piaskowe; z kłopotami, gdzie parkować; z objazdami między nasypami żwiru i huczącymi maszynami; pomiędzy ludźmi uderzającymi w rozmowach po ramieniu; ciągnąc bagaże z wozu na noclegi i z powrotem; pryząc herbatę na podróżnej maszynie. (...) Patrzę na „moją starą” i pytam: Czy wolisz to niż „Super Chiefa”? Podnosi na mnie oczy, a oczy są młode. I mówi z przekonaniem: Wolę (A-P, s. 193).

Wybór trudniejszego, bardziej monotonnego wariantu podróży po Ameryce Północnej ma swoje uzasadnienie. Wańkowicz obrazowo pisze, że „obcego kraju należy się uczyć, dając m.in. raz po raz buty do podzelowania”. Przemierzając samochodem Stany Zjednoczone, chłonie je wszystkimi zmysłami, korzysta z okazji, by skosztować grzechotnika (A-P, s. 128), pomieszkuje w amerykańskich przyczepach, poddaje się nastrojowi nowoorleańskiej roztańczonej ulicy, szaleje na karuzelach w Disneylandzie. Gargantuiczny wręcz apetyt na życie dobrze oddaje opis wizyty reportera w jednym ze słynnych salonów piękności. Zaleca wówczas, by zrobić z nim wszystko, „co im do głowy przyjdzie”. Zatem po oczyszczeniu butów, manikiurze i pedikiurze, fryzjer

miesił (...) głowę, smarował, maścił, masował elektrycznie, masował strzelającą fioletową lampą, masował wibratorem, masował ręką, iskał (...) po włosach pięciopalczystą, elektryczną „ręką”, kładł ciepły kompres, potem masę, potem zimny, potem masę, skraplał, upachniał, padgalał i gadał, gadał i gadał... (A-P, s. 180).

Niewiele jest w amerykańskiej trylogii przykładów haptycznego obcowania ze światem, pisarz faworyzuje raczej zmysły dalekiego kontaktu, jak wzrok i słuch. Umieszczenie tej obserwacji jest jednak znaczące – Wańkowicz nie tyle korzysta bowiem ze zmysłu dotyku, ile jest poddawany dotykowi stechnicyzowanemu, a nawet w pewnym sensie: zinstytucjonalizowanemu. Ten rodzaj namacalnego

kontakty ze światem jest więc ludzacy, nie daje szans na dotknięcie prawdziwej rzeczywistości.

Podrózne wybory Wańkowicza są czasem zastanawiające. Komentuje je Jerzy Surdykowski, którego zadziwia brak zainteresowania amerykańskimi „cudami natury”. Przejeżdżający przez Arizonę pisarz bez żalu pomija wędrówkę po Wielkim Kanionie, w Nowym Meksyku nie odwiedza indiańskich ruin, a mieszkając przez cztery miesiące w Los Angeles nie zagląda nawet do słynnego parku krajobrazowego Yosemite. Zamiast tego jedzie na spotkanie z polsko-amerykańskim szarlatanem, który posługując się pseudonaukowymi teoriami opowiada o swoich kontaktach z Wenusjanami. Trzeba jednak przyznać, że jest to bardzo znaczący wybór. Wańkowicz przedkłada bowiem spotkanie z osobliwym człowiekiem, zresztą także Polakiem, nad największe krajobrazowe „hity” i udowadnia w ten sposób, że w podróżując po kontynencie amerykańskim nie chce być tylko turystą, ale przede wszystkim reporterem – kolekcjonerem niecodziennych zdarzeń i frapujących rozmów.

W relacji Wańkowiczowskiej przeprawy przez USA jest pewien paradoks: oto podróż odbywana „w rytmie” doświadczanego świata, mocno angażująca zmysły wędrujących, jest nierzadko wyjąłowana z opisów percepcji. Pisarz nie poświęca uwagi ciału, jego zmęczeniu, nie narzeka na trudy podróży, niedyspozycje organizmu, które są przecież nieuniknionym towarzystwem wielkich wypraw, zwłaszcza gdy wybierają się na nie ludzie niemłodzi. Wańkowicz próbuje poznać Amerykę w sposób najbardziej pierwotny – zmysłowo: chce przyjrzeć się wszystkiemu z bliska, odczuć na własnej skórze, smakować, wachać i wsłuchiwać się. Tymczasem później, opisując swe doświadczenia, nieczęsto uruchamia zgromadzone doświadczenia zmysłowe. Zresztą świadectwa istnienia znaczących percepcyjnych rezerw są rzadkim okazem w omawianej trylogii. Znaczącą rolę odgrywają np. w opisie Nowego Orleanu. Poznawanie krainy jazzu różni się od opisów innych przystanków na trasie tej podróży. Nie bez przyczyny pisarz w tytule donosi: *Rozpreżamy się w Nowym Orleanie* i już w pierwszych zdaniach daje dowód tego „rozpreżenia”, pozwalając się uwodzić zmysłom: „Powietrze jest przejrzyste, słoneczne, krajobraz radosny, musujący, nadmorski, pustynno-palmowy, (...) [powietrze] jest przesycone zapachem korzennych przypraw morskich przysmaków i mocnej kawy” (A-P, s. 111). W cytowanym fragmencie mamy do czynienia z sensualnym spiętrzeniem, w którym wcale nie dominuje rygor wzroku, ale raczej zmysłowa synestezja: nadmorski krajobraz zatopiony jest w krystalicznie czystym powietrzu, ma intensywny korzenno-kawowy zapach. Jego percepcja angażuje także zmysł słuchu – jest „musujący”, subtelnie wibruje.

Wypada się zastanowić, skąd ten – nieczęsto spotykany w książce – sensualny zwrot? Nowy Orlean okazuje się specyficznym przystankiem w podróży, bo jako kolebka zmysłowej muzyki, jest przestrzenią, którą władają raczej uczucia niż

intelekt. Wsłuchując się w rytm tego miejsca, próbując zgłębić jego tożsamość Wańkowicz nie korzysta z racjonalnych sposobów orientacji przestrzennej, lecz przeciwnie – nie boi się zagubić w labiryncie splecionych uliczek, na powrót budzi swe zmysły: „To miasto jest żywonarodzone. – tłumaczy zaniepokojonej niekończącym się błędzeniem żonie – Nieplanowane. I ludzie tu są żywonarodzeni, zespoleni ze swoim miastem. Nielogiczne ulice mają logiczny bieg krwi. Kierunek, jak dawniej – to serce. Już go nosem czuję” (A-P, s. 112). Małżonkowie chętnie poddają się aurze tego jedyne i niemożliwego do podrobienia *genius loci*, syca zmysły pozwalając się uwodzić ulicznej muzyce, wykonywanej przez potencjalnych następców Louisa Armstronga, ciesząc oczy widokiem nastrojowej przestrzeni:

mijamy ulicę za ulicą, coraz bardziej strojne w stare domy, przewiewne, od ulicy z głębokimi wnękami tarasowych balkonów za kutymi ręcznie żelaznymi kratami, pod ulewą kolorowych markiz, z błyskającymi przez przebłyki bram mozaikowymi patio-podwórcami, na których szmerzą fontanny i rosną palmy i szczyrzą zielone, spatyniałe paszcze tłuste delfiny (A-P, s. 112).

Nowy Orlean wabi ich także zapachami – pisarz z ulgą odnotowuje zmianę w jednostajnym podróznym jadłospisie: „Ileż bom ja w ciągu jazdy opchnął tych »frakfuterów«, tych »hot dogów«, »gorących psów«, tego narodowego przysmaku”. I oczywiście nie byłby sobą, gdyby nie przedstawił na ten temat porażających kalkulacji: „Tegoroczna produkcja parówek w USA wyniosła tyle, że, jak obliczono, można by nimi opasać trzydzieści dwa razy glob ziemski”, nie dodał z emfazą: „Precz z parówkami! Hrabia jestem na tę noc w Nowym Orleanie” (A-P, s. 113) i nie skosztował „aromatycznego” i „buchającego parą i ostrym zapachem”, egzotycznego „pompano” (A-P, s. 115).

Ważnym punktem na mapie podróży jest Nowy Jork – miejsce skrajnie odmienne od miasta jazzu. Wańkowicz widzi go jako „nieludzką ziemię”. Pierwsze, jeszcze przedwojenne, spotkanie z miastem robi na nim wrażenie „Metropolis Szatana”: „Przez te drapacze, przez bezduszne szachownice ulic, przez zautomatyzowanie” (A-P, s. 33), drugi kontakt nie ma już charakteru demonicznego, ale jest to nadal ziemia nieprzyjazna człowiekowi: „Kiedym się po wojnie do niego wezwyczał, wydał się zmilionkroconym Garwolinem. Przez te sklepiki, przez brud, przez jazgot bocznych uliczek” (A-P, s. 33). Pisarz powiada wręcz: „w Nowym Jorku się duszę”. Nie pociągają go luksusowe, „pełne wymyślnej ekstrawagancji” ulice, jak Fifth Avenue ani eleganckie ogrody na szczytach penthouse’ów: „usechłbym w tych ogrodach, białoruski kwiatusek” – powiada. W ujawnionej tu tęsknocie pisarza za krajem odsłania się ważny mit polskiego romantyzmu – oto kolejny wielki pisarz-emigrant stający wobec cudów dalekiego świata, daremnie nasłuchuje odgłosów dalekiej ojczyzny. W zamykającym tę obserwację: „Jedźmy już, na Boga!... Diabła tam!...” (A-P, s. 35) jest przecież niedalekie echo Mickiewiczowskich peregrynacji stepowych.

Przywołanie bujnej ziemi rodzimej skonstrastowanej ze ściśle zaprojektowanymi ogrodami, które zresztą umieszczone są na dachach, przypominać może średniowieczny topos „świata na opak”. W Nowym Jorku Wańkowiczowski świat rzeczywiście obrócił się na nice – zhierarchizowany układ społeczny, który go ukształtował, został tu zastąpiony przez porządek karnawału – sztuczność otoczenia i anonimowe kontakty międzyludzkie. Szlachecka kultura raz jeszcze musiała ulec potędze swej plebejskiej siostry, tym razem jednak cudownie przemienionej w stylu *glamour* – w powabną, luksusową, pełną blasku. Semantyczną woltyżerkę tego pojęcia tak widzi autor trylogii:

Ukuto nazwę na określenie kultury amerykańskiej – „kultura plebejska”. W nowym, nie pejoratywnym sensie tego słowa. Istotnie, kultury Ameryki nie zbudowała szlachta, mieszczaństwo, chłopcy czy robotnicy. Zbudowały ją masy pomieszane, nijakie, przeszuflowane, zjeżdżające z czterech końców świata, szybko porastające w zamożność. Drapacz chmur Macy’ego jest świątynią tej plebejskiej kultury. Snujemy się po jego nieskończonych piętach i salach, w których można nabyć literalnie wszystko – od sznurowadła do dużej łodzi motorowej (A-P, s. 37).

Może najbardziej zmiennym wytworem tej kultury byłby Disneyland – zamknięta przestrzeń, rządząca się ściśle zaprogramowanymi regułami gry; miejsce, w którym sfera ludzkich emocji podlega komercjalizacji i ograniczeniu do starannie wyreżyserowanych reakcji. Wańkowicz z przekorą wobec nieukrywanej niechęci „czcigodnych *fellows* z Fundacji”, czyli innych artystów zaproszonych do siedziby Hartforda, wybiera właśnie to miejsce na cel swojej podróży. Małżonkowie znakomicie podchwytywają reguły gry, rzucając się w wir atrakcji – płyną dziką rzeką, przeżywają bandycki napad na pociąg, lecą na „księżyc”. W czasie owego sensualnego spektaklu pozwalają wibrować zmysłom:

Siedzieliśmy nad brzegiem wody, – wspomina autor – na której chwieją się pirogi tubylców, i chłoniemy głosy puszczy. Słońce zbliża się ku zachodowi i dżungla układa się do snu. Z jej zielonego piekła dochodzą głosy papug, piski małp, jakieś gwizdy i poświsty nieznanych ptaków, pobekiwania i pokwikiwania nieznanego zwierzęcia i od czasu do czasu rozlega się ryk drapieżnika (A-P, s. 271).

Finałem tej sensualnej feerii jest nieunikniony, ale i niezbyt dotkliwy, powrót do rzeczywistości: „O czytelniku – po cóż mnie zmuszasz do wyznania, że wszystko to robią zmechanizowane i zsynchronizowane głośniki?” (A-P, s. 271).

Doświadczenie podróży Wańkowiczów uczy, że życie w świecie wysoko rozwiniętej cywilizacji nie zawsze bywa zabawą, ale częściej jest udręką dla zmysłów. Opuszczając Nowy Jork pisarz przemieszcza się tunelem i wspominając niedawną tragedię drogową spowodowaną pożarem jednego z dużych aut, notuje swe wrażenia z podziemnej wędrówki:

Huk piekielny ciężarówek, lśnienia lampionów, cienie tańczące po ścianach tunelu (zapalonym latarnie), zmienione ciśnienie – stanowią istną drogę z piekła. Wyskakujemy z tunelu jak

korek z butelki w słoneczny świat. Żrenica musi przyadaptować się natychmiast, nie ma prawa zaniewidzieć ani na chwilę w tej piekielnej sarabandzie (A-P, s. 44).

Pisarz nie ma wątpliwości, że stechnicyzowana przestrzeń jest ludziom przeciwna, bo zamiast pobudzać ich zmysły – atakuje je i tumani. Za cenę życia człowiek zmuszony jest funkcjonować jak bezbłędna maszyna – być w nieustannej czujności, podejmować wyłącznie skuteczne działania. Obserwacje Wańkowicza nie są odległe od opinii niektórych badaczy kultury, którzy wyraźnie mówią o zagrożeniu, jakie zmysłom niesie przestrzeń metropolii: nieprzerwana aktywność rozmaitych bodźców, ciągłe „bycie w pogotowiu”⁷.

To jednak nie wszystkie niebezpieczeństwa czyhające na podróżującego po amerykańskiej ziemi. Poza tymi, które zafundowała wysoko rozwinięta cywilizacja, są i zagrożenia naturalne – jak teksańskie huragany (Wańkowicz szacuje ich liczbę na ponad dziesięć rocznie), nieprzebyte góry czy drapieżna fauna (aligatory, jadowite węże itd., A-P, s. 156). Oczywiście rewersem tej rzeczywistości jest dla pisarza bezpieczna ziemia rodzinna:

Ale, bo sama powiedz – tłumaczy zonie – jadowitości różne, spieki, powodzie, huragany. Nie ma ziemi tak przytulnej i niegroźnej jak nasza, ziemi swojskiej, która podaje wędrowcowi liście babki, na skałeczenie, przeciera zaszle rosą niebo puszkami obłoków, a jeśli straszny – to zaskrońcami, a jeśli przeraża – to głosem pucki hukającej ze strzechy (A-P, s. 156).

Warto zwrócić uwagę na percepcyjną czułość, z jaką pisarz oddaje jakość polskiego krajobrazu – swojskie obłoki mają miękkość puszkę, poranek orzeźwia delikatna rosa, a wieczór wabi odgłosami przyjaznej człowiekowi przyrody. Tę samą wrażliwość na reakcje zmysłowe trudno byłoby odnaleźć w opisach innych wysoko cywilizowanych przestrzeni amerykańskich. Oto jedna z takich obserwacji – przywołując wspomnienia rozświetlonego miasta pisarz notuje:

Jedziemy jarzącym Nowym Jorkiem. Przecież to za kilka dni Boże Narodzenie. Empire State Building, którego 900 biur (łącznie czynsz roczny dziesięć milionów dolarów) stoi w nocy pustką, rozjarzył swoją fasadę 125 milionami świateł; w pobliżu Radio City Music Hall (sala z widownią na 6200 osób) stoi olbrzymia choinka z dostawionego tu z wielkim trudem 30-metrowego świerka, iluminowanego od góry do dołu (A-P, s. 42).

Co uderza w tym opisie? Niejaka nieporadność językowa daje się zauważyć już w pierwszych trzech zdaniach, w których wizytówka Nowego Jorku – nocne iluminacje miasta – określona jest bez polotu, bez cienia niepodrabialnej językowej wyobraźni Wańkowicza, raz jako „jarzące”, nieco dalej – za pomocą cza-

⁷ Na ten temat interesująco pisze M. Nieszczerzewska, *Stymulacja autentyczna i inscenizowana. Dwa rodzaje sensorycznej intensywności miejskiego życia*, w: *Spektakle zmysłów*, red. A. Wieczorkiewicz i M. Kostaszuk-Romanowska, Warszawa: Wydawnictwo Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, 2010, s. 261–276.

sownika o tym samym źródłosłowie „rozjarzyć się” (zresztą tak samo określa Nowy Jork nieco wyżej). Opis nowojorskiej feerii świateł ma jednak pewną, by tak rzec, zaprogramowaną intensywność. O skali widowiska ma nas przekonać nie czułość reporterskich zmysłów, ale porażająca skala liczbowa – sto dwadzieścia pięć milionów świec umieszczonych na fasadzie budynku istotnie robi spore wrażenie. Jaką rolę w reportażu odgrywają takie kalkulecje, wyjaśnia Wańkowicz w przedmowie do pierwszego tomu swej trylogii: „W książce jest wiele liczb, zwykle starannie przesianych. Liczba celnie wybalansowana jest nie tylko dokumentem, ale stanowi sama w sobie czynnik emocjonalny i jest cennym walorem literackim” (A-P, 16). Można by dziś dyskutować, czy przytoczone przez reportera liczby istotnie spełniają znaczącą literaturotwórczą rolę. Chyba sam pisarz nie był pewien działania sformułowanej tu zasady, skoro poczuł się zobligowany do umieszczenia takiego objaśnienia w przedmowie do pierwszego tomu swej trylogii. Nie ma wątpliwości, że niemalą część zgromadzonych tu obliczeń można by bez żalu i niepokoju o utratę istotnych wartości literackich usunąć z tekstu.

Zresztą trudności Wańkowicza w deklarowanym przezeń „starannym przesiewaniu” liczb i materiału reporterskiego są widoczne gołym okiem. Nie sposób nie zgodzić się z autorem wstępu, który – choć szczerze urzeczony tym pisarstwem – notuje:

To gaduła, gawędziarz w starym stylu, bratanek Reja, a może i ksiądz Baki; każdy dzisiejszy redaktor wydawniczy zniszczyłby go za rozwlekłość. (...) Niedzisiejsze jest jego zainteresowanie światem, apetyt na życie we wszystkich jego przejawach, soczystość stylu; cytuje zasłyszane gawędy, facecje i lokalne plotki, a jednocześnie sięga po statystyki, liczby, mnoży dygresje historyczne. Miesza gatunki. Gada, gada, gada...⁸

To uporczywe słowne uzewnętrznianie się Wańkowicza, graniczące nieraz z gadulstwem, na pewno nie jest przypadkowe. Leksykalne spiętrzenia mają może zatrzeć poczucie niezadomowienia w tej przestrzeni, braku emocjonalnej więzi. Ale przecież Wańkowicz miał ważne powody i szczerze pragnienie, by poznać, odczuć i zrozumieć Nowy Świat. Jako człowiek głęboko rodzinny, zamierzał zakorzenić się w ziemi, którą wcześniej wybrała jego jedyna córka, od kilku miesięcy miał już w kieszeni amerykański paszport. Dlaczego więc, mimo pełnego determinacji nurzania się w doświadczeniu Nowego Świata, Wańkowiczowskie zmysły nie reagują na tę przestrzeń? Dlaczego pisarz znany ze swych barwnych, sensualnych i pełnokrwistych opisów nie zdołał dotknąć Ameryki? Trylogia *W ślady Kolumba* nie jest bowiem – poza cennymi perełkami – jakością szczególnie udaną. Zdaje się, że sam reporter miał w stosunku do niej poczucie pewnego niespełnienia, skoro otwarcie przyznawał: „Nie mam najmniejszej wątpliwości, że nie napisałem takiej książki, o jakiej bym marzył” (A-P, s. 13). Czy

⁸ J. Surdykowski, *Go West!...*, s. 7.

niepowodzenie byłoby – jak sugeruje – kwestią nieciekawego tematu, z jakim musiał się zmierzyć?

Nic się nie dzieje. – notował – Te młodziaki reportery licho wie, gdzie się nie włączą: po Wietnamach, Indonezjach, Laosach, Kongach. Przemierzają dżunglę, pustynię, laguny, mają przygody z gejszami. A tu starszy pan ciągnie się ze starszą panią samochodem po szosach, śpi w hotelach, pojada w restauracjach i z tego ma być wyciśnięty reportaż?⁹

Zdaje się jednak, że przyczyna niepowodzenia tkwi gdzie indziej – mimo szczerych chęci, sporej determinacji i trzymania na wodzy uprzedzeń – pisarz dramatycznie nie rozumie tego kontynentu. Wydawać by się mogło, że w kontakcie z obcą, stechnicyzowaną przestrzenią gasną jego zmysły. I najwyraźniej ma on pełną świadomość swej odmiennej, niezestrojonej z Ameryką, wrażliwości. Wynaję bowiem:

Przyglądając się grubemu rękopisowi po jego ukończeniu, rozumiem, że przez Amerykę prowadziło mnie nieustanne zdumienie człowieka kultury organicznej, może nawet aż rustyecznej, który ogląda życie technokratyczne wytwarzające kulturę nieorganiczną. Stąd w książce nieustanny zachwyty, olśnienie i skurcz, i rezerwa (P-A, s. 14).

Te napięcia między światem doznawanym i wspomnianym nie są w książce rzadkością. Wańkowicz deklaruje już w przedmowie:

pisząc o tematyce najbardziej odległej, myślałem o Polakach. Siedząc na rodeo z kowbojami, czułem się, jakbym siedział między knajkami z polskiego stadionu i krzyczał wraz z nimi „sędzia kalosz”. Łapiąc grzechotnika, przeżywałem chłopięce emocje pogoni za zaskrońcami. Na młodzież patrzyłem przez pryzmat serc przesztych strzałą wydrapanych na korze polskich drzew za moich sztubackich czasów (A-P, s. 14).

I rzeczywiście – nietrudno znaleźć w książce ślady takich podróży odbywających się równolegle w przestrzeni i czasie. Oto zwiedzając dziki Teksas przywołuje Wańkowicz ukraińskie polowania z chartami (A-P, s. 155), kiedy ma okazję odwiedzić rodaków, czyni to, choć bywają to spotkania rozczarowujące, jak na przykład wtedy, gdy w najstarszej polskiej parafii poszukuje śladów tożsamości narodowej. Ze smutkiem odnajduje jednak polskość skarłałą, bo jej jedyne relikty to bożonarodzeniowe *carols*, wykonywane przez wiernych w czasie pasterki jako „Boże dżecz” czy „Łułajże”, i będące może ostatnimi słowami z języka przodków, jakie potrafią wymówić. Wańkowicz jest jednak zbyt doświadczonym reporterem, by w czasie podróży pozwalać się uwodzić wspomnieniom. Trafiając na kolejny polski ślad dyscyplinuje się: „Uff!... Ale trzeba się strzec, żeby ta wyprawa nie szła pod hasłem: »Słoń a sprawa polska«. Bo też tego polskiego słońca jest pełno na świecie” (A-P, s. 67).

⁹ M. Wańkowicz, *W ślady Kolumba. Królik i oceany*, wstęp, J. Surdykowski, posłowie: A. Ziółkowska-Boehm, Warszawa: Prószyński i S-ka, 2009, s. 62.

Pisarz kończący swój amerykański wояż ma chyba świadomość sensualnych deficytów w jego opisie. Umieszczając bowiem bardzo wizualny rozdział o malarstwie notuje: „Po tych trzech tysiącach mil percepcja walorami literackimi nie starczała. Należało otworzyć wszystkie, nawet zardzewiałe klapy chłonne. To nas pchnęło do malarzy. Głód koloru i formy” (A-P, s. 225). Przywołując fragment podróznego notatnika żony, pisarz szczególnie zatrzymuje się nad „roznoszącym” go tematem „wzrokowych poszerzeń”. Fragmenty pamiętnika, będącego interesującym kontrapunktem Wańkowiczowskich obserwacji, zawierają naniesione przez autora liczne inkrustacje, zwane wówczas „pogłębiającymi komentarzami”. Włączone do tomu notatki Zofii stanowią świadectwo wyraźnie odmiennego, znacznie bardziej naznaczonego zmysłowością, postrzegania. Zajmują ją głównie obserwacje przyrody – z pieczołowitością opisuje ubarwienie ptaków, zachowania drobnych gryzoni, groźne spotkanie z grzechotnikiem. O jej niepospolitej wrażliwości wobec świata wizualnego świadczy też jakość opisów: oto charakteryzując okolicę, którą zamieszkują małżonkowie, Wańkowiczowa posługuje się istnym spiętrzeniem przymiotników nazywających rozmaite odcienie kolorów (czasem tak subtelnych jak „zimowoszary”, „dropiaty”, „jaspis” – A-P, s. 225). Mąż pracowicie podkreślając nagromadzone przez nią epitety nieco złośliwie komentuje: „*Mater Dei!* (...) cóż za obsesja kolorów!” Wańkowicz doskonale zdaje sobie jednak sprawę, że posiadanie bliskiego towarzysza podróży ma dla jego pisarstwa wartość trudną do przecenienia. Tę metodę wypróbował już przed wojną, wybierając się na wyprawę kajakową do Prus Wschodnich z młodszą córką, skąd przywiózł słynny zbiór reportaży *Na tropach Smętka*. Rola, którą ma pełnić podróżująca żona, pisarz widzi podobnie: Zofia pomaga w „podciepleniu reportażu” i zbliżeniu go do czytelnika. W tym konkretnym przypadku można chyba rozważyć jeszcze inną argumentację – małżonkowie wspólnie przemierzają kontynent amerykański, by razem podjąć decyzję o pozostaniu w USA lub powrocie do kraju. Nie dowiemy się pewnie nigdy, jakie znaczenie ma amerykańska wyprawa dla biografii Wańkowicza. Czy podróżując po Stanach Zjednoczonych z nowo otrzymanym paszportem wiedział już, że nie zakorzeni się w tej przestrzeni, czy może było raczej odwrotnie – decydując się na tę wyprawę miał raczej nadzieję, że zdoła dobrze poznać, odczuć i zrozumieć przybraną ojczyznę? Wiemy na pewno, że niedługo po zakończeniu podróży, już w 1958 roku pisarz podjął trudną, poważnie komplikującą jego stosunki z emigracją, decyzję o ostatecznym powrocie do kraju.

Na koniec trudno nie zatrzymać się nad problemem „światowości” Wańkowicza. I choć jest to raczej pytanie przekorne, bo o ojcu polskiej szkoły reportażu mówi się dziś niewiele, mimo niestrudzonych wysiłków współpracownicy autora i badaczki jego twórczości (dość wspomnieć opracowanie rodzinnej korespondencji oraz opiekę redakcyjną nad imponującą edycją wydanych ostatnio dzieł) to jednak warto je zadać. Wedle dawnej miary autora *Na tropach Smętka* można by

chyba ostrożnie nazwać pisarzem światowym: aktywnie uczestniczył bowiem w życiu polskiej emigracji, współpracował z zagranicznymi instytucjami kultury (m.in. stypendia Hartforda, Montalvo), jego książki tłumaczone były na języki obce¹⁰, cieszył się ponadprzeciętną sympatią czytelników (redaktorka serii donosi, że trylogia amerykańska sprzedawała się w stu osiemdziesięciu tysiącach egzemplarzy!). Do legendy przeszło spotkanie autorskie w szczelnie wypełnionej Sali Kongresowej. I choć dawny sekretarz reportera, Antoni Kroh, wspomina dziś, jak na polecenie twórcy wysyłał dziesiątki osobistych zaproszeń wyszukując potencjalnych gości wieczorów autorskich w książce telefonicznej, to wcale nie umniejsza tą informacją skali popularności pisarza, ale daje kolejny dowód, że Wańkowicz-sprawny PR-owiec, nie jeden raz wyprzedził swą epokę. Trudno byłoby uznać, że twórczość Wańkowicza jest dziś szczególnie inspirująca literacko, choć od śmierci kultowego niegdyś pisarza upłynęły zaledwie niecałe cztery dekady. Autor *Na tropach Smętki* jednak ma swój znaczący udział w kształcie współczesnego polskiego reportażu – jego najważniejsze cechy, m.in. upodmiotowiony charakter opisu rzeczywistości, śmiałość w poszerzaniu granic gatunku zawdzięcza właśnie literackiej brawurze i niewątpliwemu talentowi tego twórcy. Kto wie, czy polska szkoła reportażu, może dziś najlepiej, obok poezji, obecna w światowej przestrzeni literackiej, osiągnęłaby tak wysoki status, gdyby nie poczęła się z Wańkowiczem?

MELCHIOR WAŃKOWICZ'S NEW WORLD

The article discuss one of Melchior Wańkowicz's main works. The father of Polish school of reportage was a living witness to history. He took an active part in both world wars, was an important participant in the Polish emigration and one of the most distinctive personalities in postwar Poland. His journalistic travels lead to major countries in Europe, several countries in Asia and some-across the Atlantic. And these American travels are particularly important to him (the writer wanted to make the U.S. his adoptive homeland), but the American trilogy does not belong to the author's most successful works. It might be a proof that, despite the efforts Wankowicz doesn't understand this reality. Maybe in contact with so technology-oriented culture his senses fade?

Dr Beata Nowacka – pracuje w Zakładzie Literatury Współczesnej Uniwersytetu Śląskiego. Interesuje się problematyką reportażu, tematyką familiologiczną i recepcją literatury polskiej w świecie. Autorka książki *Magiczne dziennikarstwo. Ryszard Kapuściński w oczach krytyków*, Katowice 2004, 2006 (2 wyd.) oraz – wraz z Zygmuntem Ziątkiem (IBL PAN) – *Ryszard Kapuściński. Biografia pisarza*, Kraków 2008. Ostatnio ukazał się jej hiszpański przekład: *Kapuściński. Una biografía literaria*, traducción de Francisco Javier Villaverde, introducción, Jose Maria Faraldo, Madrid 2010. W 2009 roku książka została uhonorowana Śląskim Wawrzynem Literackim.

¹⁰ Ukazały się m.in. angielskie tłumaczenie *Dziejów rodziny Korzeniewskich* jako *Golgota Road* w 1945 r., w 1947 ta sama książka przetłumaczona została na język włoski: *Stori di una famiglia* i francuski: *La litanie de la faim*. W 1973 r. Tworzywo jako *Three Generations* ukazało się w Kanadzie. Wszystkie informacje podaję za publikacją A. Ziółkowskiej-Boehm, *Kalendarium...*, s. 578, 583.